Rok I. Lwów — Zakopane 1 sierpnia 1907. Nr. 4.

TATERNIK

ORGAN SEKCYI TURYSTYCZNEJ TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYCHODZI SZEŚĆ RAZY DO ROKU.

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR I WYDAWCA: Prof. Dr. KAZIMIERZ PANEK.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
ZYGMUNT KLEMENSIEWICZ, LWÓW, ZIEMIAŁKOWSKIEGO 1.
OD 20. LIPCA DO 1. WRZEŚNIA ZAKOPANE, DWORZEC TATRZAŃSKI.

Członkowie Sekcyi otrzymują czasopismo bez dopłaty, dla niecz łonków prenumerata wynosi rocznie z przesyłką 2 K — numery pojedyncze w cenie 40 h są do nabycia: we Lwowie — w Księgarni Polskiej, ulica Akademicka; w Krakowie — u p. Fischera, Rynek A-B w Zakopanem — w księgarni p. L. Zwolińskiego, Krupówki i w handlu p. A. Górasia, Krupówki.

Zarząd Sekcyi Turystycznej zwraca się do wszystkich turystów z gorącą prośbą, aby, ze względu na własne dobro, przyjmowali tylko przewodników posiadających książeczki, wystawione i potwierdzone przez Zarząd Sekcyi.

Po „młodym“ śniegu.

(Dziewięć dni w Tatrach)

napisał

Mieczysław Karłowicz.

Wycieczka, którą odbyłem w Tatrach jesienią roku przeszłego, była stanowczo wyjątkową: przyświecało jej przez całych dni dziewięć dobrotliwe, uśmiechnięte słońce, to samo słońce, które, kryjąc się zazdrośnie za chmury deszczowe, niemal przez całe lato ubiegłe nie pozwalało na dłuższe wycieczki. Czyż więc nie mam prawa twierdzić, że wycieczka moja była wyjątkową?

Ale też czekałem długo, zanim ją odbyć mogłem. Pogoda niedopisywała, Klimka Bachledę (który miał mi towarzyszyć) krępowały inne zobowiązania, a w końcu nadciągnęły straszliwe, czarne chmury, spowiły czarnym całunem szczyty i wisiały na nich tydzień cały. Gdy nareszcie moc słońca zwyciężyła, ukazały się góry w szacie z lśniącego, „młodego“ śniegu, który iskrzył się w blasku słonecznym i topnieć nie miał najmniejszej ochoty. „Hrubo napadało“, powtarzali górale, „hrubo“.

Nie był ten śnieg potrzebnym dodatkiem do mojej wyprawy, gdyż miała mię ona zaprowadzić na kilka szczytów „bardzo trudnych". Ale z drugiej strony dawał pewną gwarancyę dłuższej pogody. To też niebawem — 30 sierpnia — wyruszyliśmy z Zakopanego.

* * *

Cudny był poranek, gdyśmy z Klimkiem podążali wózkiem w stronę Łysej Polany. Cała dolina Zakopanego, którą wzrok mój obejmował z Toporowej Cyrhli, zalana była różowawym blaskiem, a od gór wiał lodowy, świeży podmuch. Nie dłużyła się nam jazda. Układaliśmy szczegółowy plan wycieczki i aniśmy się obejrzeli, gdy już zaszumiała Białka i zaświecił się most wiodący do posiadłości Jaworzyńskich. Przekroczywszy go, podążyliśmy odtąd pieszo rozkopami i jamami, które zamienić się mają w drogę bitą, na razie zaś były terenem mniej wdzięcznym, niż najcięższa przeprawa po skale. Mignęły nam po drodze domki Jaworzyny, kościółek, papiernia i nareszcie znaleźliśmy się u progu gór, do których szerokie wrota otwierała przed nami dolina Jaworowa. Nie jest ona najpiękniejszą z dolin Tatrzańskich, ma jednak majestatyczny urok swego ogromu.

Skierowaliśmy się na drogę, wiodącą do przełęczy „Pod Kopą"; lecz nie ona miała nam otworzyć furtkę do Zielonego Stawu Kiezmarskiego, drogę tę bowiem znałem z dawniejszych wędrówek. Koło gajowni w Koperszadach zeszliśmy ze zwykłej drogi i podążyliśmy stromą ścieżką w stronę stawu Kołowego, ażeby przez przełęcz Kołową (najniższy punkt grani między szczytami Jagnięcym i Kołowym) przedostać się do doliny Jagnięcej.

Po raz pierwszy byłem w dolince Kołowej. Łagodna zieleń murawy, pokropiona ciemnemi plamami kosodrzewiny u spodu, wydłużony stawek z gęsto rozrzuconemi głazami w środku, ciemne ramiona granitowych turni na około i senna niebieskość równin podhalańskich w oddali: oto obraz, na który patrzałem, kierując się od stawu na strome zbocze Jagnięcego Szczytu. Pod nogami miałem bujną, soczystą trawę, zmięszaną z różnokolorowem kwieciem: roślinność żyła jeszcze pełnem życiem krótkiego lata górskiego; lecz leżący na niej ów „młody" śnieg, z nieubłaganą siłą mroził ją swem chłodnem tchnieniem. Bez trudu doszliśmy do skały, a i ona nie nastręczała nam trudności, tak że wkrótce stanęliśmy w wązkiem zacięciu grani, pozwalającem przedostać się na stronę południową.

Oczom moim ukazała się dolinka Jagnięca: dzika, kamienista, bezuroczna. Zejście z punktu, w którym się znajdowaliśmy, byłoby bardzo trudne, może nawet niewykonalne. Posunęliśmy się więc granią w stronę Jagnięcego Szczytu i tutaj napotkaliśmy rodzaj koryta, którego ściany pozwoliły się zsunąć — lubo z pewną ostrożnością — o kilkanaście metrów niżej, do początku usypiska. Niewesoły był marsz po nieskończonem morzu kamiennem; to też ulgą było wydostanie się na ścieżkę. Schodząc nią do Zielonego Stawu i spoglądając na majestatyczne ściany Kiezmarskiego, Łomnicy i Durnego, toczyliśmy z Klimkiem rozmowę wcale niewesołą. Oto olbrzymy te zasypane były

śniegiem daleko więcej, niżeśmy przypuszczali, a kotlina pod Miedzianą Ławką zawalona była śniegiem całkowicie. Wobec tego Klimek oświadczył mi krótko i węzłowato, że projekt na dzień następny — wejście na Łomnicę przez Miedziana Ławkę i zejście drogą Jordana do schroniska Téry'ego — jest niewykonalny, gdyż zbyt długo trwałoby przedostanie się przez masy śniegowe i niestarczyłoby dnia na resztę drogi. Stanęło więc na tem, że zaczekamy dzień jeden przy Zielonym Stawie; może też śnieg przygrzany słońcem namyśli się i stopnieje!

W schronisko nie było nikogo; mogłem więc ułożyć się wygodnie do spoczynku. Zasypiając, długo wsłuchiwałem się w szept wodospadów i głuchy pomruk lawin, zsuwających się z pod Miedzianej Ławki.

* * *

Wskazówka na zegarku wskazywała punkt piątą, gdy Klimek zapukał do drzwi moich. Pierwszym ruchem moim było otwarcie okiennic i rzut oka na pogodę. Byłem przygotowany na wszystko: słońce, deszcz, śnieg — bo to w Tatrach różnie bywa — ale na to, co ujrzałem, wcale przygotowany nie byłem. Oto przedstawił mi się widok wprost czarodziejski. Wśród szarości poranku jarzyła się purpurowym płomieniem Jastrzębia Turnia, cała oblana słońcem rannem, jakby ów czarodziejski rubin, co tkwić miał w jej wierzchołku, rozświecił się tysięcznemi ogniami.

Dzień nadchodził cudowny. Czyż więc spędzić go na werendzie schroniska? Byłoby to potwornością. Ruszyliśmy więc z Klimkiem na poszukiwanie czarodziejskiego rubina, na Jastrzębią Turnię.

Byliśmy zapewne pierwsi, którzy skorzystali z nowo zrobionej ścieżki na przełęcz Jastrzębią; przydała się nam zresztą część jej tylko, gdyż zwrócić się nam wypadło na dziwną galeryjkę, co jakby umyślnie w skale wykuta, prowadzi w stronę szczytu. Wejście po niej większej trudności nie przedstawia, bruździł nam jednak nieco „młody" śnieg, który topniał w słońcu i czynił skałę bardzo śliską. Pod szczytem miejsca nadzwyczaj dużo: możnaby zgromadzenia ludowe odbywać, a kopiec, widoczny od schroniska, nie stoi na samym szczycie, lecz o kilkanaście metrów poniżej. Szczyt cofnięty jest w głąb. Wydostanie się na sam czubek jest dosyć trudne; zresztą widok od kopca jest niemal bardzo piękny.

Bo Jastrzębiej Turni oddać muszę hołd na tem miejscu. Widok z niej jest nieco ograniczony, nie pozwala zwrokowi bujać po całych Tatrach i po odległych nizinach, lecz to, co się widzi, wynagradza najzupełniej pewne zacieśnienie. Patrzymy stąd na najwspanialsze ściany, jakie istnieją w Tatrach: czerni się masywny Kiezmarski, szczerzą swe zęby poszarpane Widły, wysuwa w niebo dumne czoło Łomnica, wreszcie silnemi liniami rysują się stożki Wielkiego i Małego Durnego; a dalej Baranie Rogi, co z Czarnym Szczytem zdają w jedną całość się zlewać i ostra piramida Kołowego. Łagodniejszy obraz napotyka oko w stronie północno-wschodniej. Tylko szczyt Jagnięcy

i Kozia Turnia uzbrojone są w pancerz ze skał, poza niemi ciągną się łagodną linią Tatry Bielskie i drzemie spokojna dolina Kiezmarska.

Z Jastrzębiej Turni zeszliśmy tą samą drogą i skierowaliśmy się na przełęcz Jastrzębią, pragnąc przejść granią z tej przełęczy na szczyt Kołowy. W chwili, gdyśmy dochodzili do przełęczy, w całej okolicy zaczęło się dziać coś dziwnego: jak gnomy z pieczar podziemnych zaczęły się ukazywać na zboczach Jagnięcego i Koziej Turni jakieś postacie ludzkie; po chwili widniało ich kilkanaście w różnych punktach. Z dołu od Zielonego Stawu, także posuwała się wolno tajemnicza grupa postaci. Wyjaśnił nam zagadkę strzelec, którego napotkaliśmy koło przełęczy: oto ks. Hohenlohe, nie zadawalniając się obszarami, które w dbałości o całość swego inwentarza koziego zamyka przed turystami, wydzierżawił tutaj polowanie i posławszy dziesiątki naganiaczy na turnie, sam raczył wywindować się na wysokość Czerwonego Stawku i zamierzał godzić na życie kozic.

Po raz pierwszy widziałem polowanie na kozice i to z miejsca jakby wprost stworzonego na punkt obserwacyjny. Na dany sygnał dziesiątki naganiaczy, rozrzuconych po stokach szczytu Czarnego, Kołowego, Jagnięcego i Koziej Turni wszczęły hałas wprost piakielny: rozlegały się strzały, ryki, jęki, wycia, skomlenia, piski, a wszystko to łączyło się w chaotyczny rozgwar, który zdawał się przejmować zdziwieniem milczące turnie okoliczne. Hałas nie pozostał bez skutku: z różnych załomów skalnych zaczęły wypadać stadka strwożonych kozic; w szalonych skokach rzucały się do ucieczki. Długo jednak nie zbliżyła się żadna na odległość strzału do magnata pruskiego. Nareszcie padł strzał ostry. Odróżnił się on wyraźnie od strzałów ślepych, dawanych przez naganiaczy, metalicznym świstem wirującej kuli, a skierowany był do kozła, umykającego w stronę Koziej Turni. „Cap idzie...“ rzekł Klimek. Drugi świst kuli. „A cap idzie...“. Trzeci i czwarty. „A cap idzie...“ No i poszedł cap, poszedł zdrów i cały, na miejscu pozostał tylko rozwścieczony prusak. A zły musiał być nie na żarty, bo dano niezwłocznie hasło, że polowanie skończone i że naganiacze mogą zejść ze stanowisk.

Z racyi polowania przesiedzieliśmy na przełęczy parę godzin. Skutek był ten, że o dostaniu się aż na szczyt Kołowy nie mogło już być mowy. Doszliśmy więc tylko do Małego Kołowego. Droga była niezupełnie łatwa; trzeba było się posuwać stroną północną grani po wązkich ławkach i galeryjkach. Na Szczycie Małego Kołowego znalazła się tyczka, kopiec i puszka z biletami. Same znane nazwiska: ta nieliczna grupa ludzi, co ukochali piękność wyżyn tatrzańskich, których nazwiska stale na szczytach z sobą się spotykają. Zejście nie nasunęło żadnych trudności. Doszliśmy do żlebu zawalonego śniegiem i przy jego pomocy zbiegli szybko do rumowiska. Zaczynało się zmierzchać, gdyśmy dochodzili do Zielonego Stawu.

* * *

I znowu o piątej rano zapukał do mnie Klimek. „Czy gorzeje Jastrzębia Turnia?“ Oto była pierwsza myśl moja. Szarpnięta okiennica zaskrzypiała

w zawiasach i oczom moim znowu przedstawił się ów widok czarowny: tysiącem purpurowych ogni płonęła piramida Jastrzębiej Turni, odcinając się od tła ciemnego jak ołów. A więc pogoda!

Długie narady wiedliśmy z Klimkiem przed progiem schroniska. Bo śniegów pod Miedzianą Ławką nie ubyło. Leżały one w kotlinie, do które słońce tylko przez godzin parę zajrzeć mogło. Przytem ze słońca większe masy śniegowe nie wiele sobie robią. Przed ciepłym wiatrem drzą, bo topi je niemal w noc jedną. Ale słońce wiele im nie szkodzi.

Po długich debatach stanęło na tem, że darujemy tym razem Łomnicy i że pójdziemy na Durny od strony południowej, przedostawszy się do doliny Pięciu Stawów Spiskich przez Przełęcz Baranią.

Obszedłszy staw i minąwszy wodospady, które dwa dni z rzędu do snu mię kołysały, zaczęliśmy powoli wchodzić w granice państwa „młodego“ śniegu. Im byliśmy wyżej, tem potężniej panował biały władca. Zaiste dziką była w tej szacie „Dzika Dolina“. Cisza aż w uszach dzwoniła. Przerywał ją od czasu do czasu szept drobnych kulek ze śniegu, co wiatrem ze skał strącone, w tysiącznych podskokach zsuwały się po nachylonych polach śnieżnych. Dziwna to była muzyka: jakby szelest pyłu kosmiczngo. Zleb na na przełęcz zawalony był śniegiem na kilka metrów. Łańcucha nawet widać nie było: owego sławnego łańcucha, co liczy 132 metry, a tak niedowcipnie był wkuty, że po zerwaniu w jednem miejscu powywlekał się z kółek (do których nie był przytwierdzony na głucho) i stał się nieużyteczny. Nam nie był zresztą potrzebny. Miękí śnieg pozwalał iść środkiem żlebu.

Wsiadłszy na wystającym ze śniegu głazie, Klimek przytwierdził „raki“ własnego wyrobu do nóg, związał mię z sobą liną i ruszył po stromym śniegu. Szło się ślicznie, niebawem też stanęliśmy na Przełęczy Baraniej i po krótkim odpoczynku zaczęliśmy zbiegać po rozmiękłym w słońcu śniegu w stronę schroniska Téry'ego. Nie zachodziliśmy tam jednak i schowawszy część rzeczy pod głazem, skierowaliśmy się do żlebu, wiodącego na przełęcz między szczytem Egenhoferówny a Małym Durnym. Śnieg i tutaj był nam wiernym towarzyszem, nie utrudniał jednak drogi.

Jakże groźna przepaść otwiera się z przełęczy w stronę doliny Dzikiej! Po czarnych jej ścianach snuły się ponure cienie, jakby dłonie śmierci wyciągały się po śmiałka, co tam zajrzeć się waży.

Z przełączy kilka metrów trudnych, potem zwykły „mozół“ skalny: ręce, zwłaszcza końce palców w ciągłej pracy, nogi w roli niemal drugorzędnej.

Stoimy na Małym Durnym. I stąd już widok piękny, tylko na południe zasłonięty całkowicie przez imponującą kopułę Wielkiego Durnego. Idziemy stąd ściśle granią i minąwszy dzielącą te dwa szczyty przełęcz, dochodzimy do masywnej ściany głównego szczytu. „Ostatnia wiorsta najtrudniejsza“ mówi przysłowie; wypada też nieco pomordować się na tej ścicnie. Ale już szczyt niedaleko. Kilka silnych ruchów i stoimy na jego czubku.

Widok w całem znaczeniu piękny. Wart trudów poniesionych. Od widoku z Łomnicy piękniejszy, bo ją samą się podziwia.

Na szczycie spędzamy kilka godzin. Dzień był pracowity, a przytem trudno się oderwać od czarów, na które oczy patrzą. Jest pewna osobliwość, którą znają tylko ci, co byli na wysokich szczytach. Mam na myśli ów pył niebieskawy, którym najczęściej przypruszone są odległe równiny. Właściwie — ni to pył ni mgła — a leży na wszystkiem, jak muszlin i kładzie oku kres daleko bliższy, niżby wzrok mógł sięgnąć. Bardzo rzadkim jest dzień, w którym zasłony tej niema. Miałem dotąd tylko dwa takie dnie w życiu: raz na Lodowym i drugi raz tutaj, na Durnym. Dość powiedzieć, że bez lornetki widzieć można było rysunek skał w Pieninach!

Krótki dzień jesienny nakazywał jednak myśleć o powrocie. Za drogę służyć nam miał szlak Jordana. Początek tego szlaku nie różnił się wiele od drogi, którą wchodziliśmy. Dopiero w pobliżu przełęczy, Klimka Bachledy napotkaliśmy miejsce cokolwiek trudne. Zejść trzeba było kilkanaście metrów prawie pionowym żlebem na małą platformę, z pod której zezowała ku nam przepaść. Była więc lina w robocie. Czując jej uścisk na sobie, zsuwałem się bez wahania. Na platformie ją odwiązałem. Klimek przewlekł ją wówczas przez kółko haka, wbitego przez niego samego kiedyś dawniej i opuścił się na niej ku mnie. Niebawem byliśmy już na przełęczy Klimka Bachledy i wymijając różne prostopadłe ściany, zaczęliśmy schodzić wzdłuż szerokiego żlebu, co się od przełęczy zaczyna. Po drodze napotkaliśmy jedną klamrę, trzymającą się mocno, ale umieszczoną arcy-niezręcznie. Osobliwie trudną zresztą droga nie była.

W schronisku Téry'ego nie było tak pusto, jak w schronisku przy stawie Kiezmarskim. Zeszło się turystów sproro, zarówno polskich, jak i niemieckich. Wypadło mi nocowawać pod turystą niemieckim, a obok gimnazisty galicyjskiego. Dla nieobeznanych z sytuacyą dodać muszę, że łóżka w tem schronisku rozmieszczone są sposobem kajutowym, jedno nad drugiem. Niemiec, który wrócił był z Ostrego Szczytu, spał jak dziecko; błogosławieństwo spokojnego snu nie przypadło jednak w udziale gimnaziście. Wśród nocy zbudził wszystkich przeraźliwy krzyk jego. Choć wołał przez sen, rozpaczliwe okrzyki miały jednak sens zupełnie jasny: oto usuwał się po skale i błagał o ratunek. Nikt mu go jednak nie udzielił.

* * *

Czwarty dzień miał nas zaprowadzić na Pośrednią Grań. A nadszedł znowu w rozsłonecznionej szacie. Wypadło nam odbyć dnia tego drogę niedaleką ale trudną, najtrudniejszą bodaj z tych, jakie przeszedłem w Tatrach; mieliśmy bowiem wejść na Pośrednią Grań wprost od północy, t. zw. drogą Bröckelmana.

Pierwsza część drogi, od wejścia na skałę do przełęczy między Pośrednią granią, a Żółtym Szczytem trudności niezwykłych nie nasunęła. Był to zwykły „mozół“ skalny; różnił się jednak tem od drogi na Durny, że prawie każdy krok był eksponowany, tak że osunięcie się zaprowadziłoby w parę sekund z powrotem do doliny. Wydostawszy się na przełęcz, wspiąłem się za

poradą Klimka kilkanaście metrów na stok Żółtego Szczytu, ażeby obejrzeć słynną gładką ścianę, co zdobi Północno-Zachodni szczyt Pośredniej Grani (niem. Katharinen-Spitze). Istotnie warta była widzenia. Spadała stokilkadziesiąt metrów prawie pionowo, czerniąc się jakby wypolerowaną powierzchnią.

Od przełęczy szliśmy wolno, gdyż droga stała się bardzo trudną. Klimek rozwijał całe swe wirtuozowstwo; szedł naprzód, boso, pomimo śniegu, ja w pewnym odstępie, związany z nim liną. Wypadło mi nieraz po kilkanaście minut czekać, zanim Klimek o długość liny w górę się posunął. A raz na kwadrans przeszło skamieniał w jednym punkcie. I klął, i śmiał się i szeptał do siebie, a nie podnosił w górę. Mijając to miejsce, zrozumiałem, czemu: w wązki komin, jak w kleszcze, wbity był ostrym końcem podobny do gruszki głaz; tęgi głaz, który zdradzał ochotę przejażdżki na dół. Ominąć go nie było można, trzeba więc było przesunąć się tuż przy nim z jaknajwiększą ostrożnością. I jeszcze jedno miejsce nasuwało nielada trudność: oto trzeba było z nachylonej, gładkiej płyty przedostać się przez jej ostry kant do sąsiadującego z nią kominka; miejsce to jest silnie eksponowane. Ale z Klimkiem dokonywa się cudów. To też dostaliśmy do kresu pomyślnie i o południu stanęliśmy na szczycie Pośredniej Grani.

Zacząłem się wpatrywać w olbrzymy, otaczające dolinę Zimnej Wody i Staroleśną: iskrzyły się w słońcu świeżemi płatami śnieżnemi, jakby przywdziały szatę, przetykaną srebrem. Otaczał je złotym pasem wydłużony krąg równin węgierskich, zdobny w migocące klejnoty: to wieże kościelne odległych miasteczek świeciły metalem swych dachów.

Gdym się w widok wpatrywał, Klimek zajęty był zgoła czem innem. Siedział jak skamieniały, nie odrywając lornetki od oczu. Wypatrzył ludzi na Ostrym Szczycie drżał cały, śledząc ich kroki. Było ich trzech: turysta i dwóch górali. Co chwila miałem raport o tem, co turyści robią. „Rzucili linę... jeden się puszcza... dobrze... już jest na dole... teraz drugi... i trzeci... zeszli... oho... lina im uwięzła... włazi po nią... i t. d.“ Tak się zajął tą trójką, że zapomiał o jedzeniu, o wszystkiem. A drażniło go nad wyraz, że nie mógł poznać ani górali, ani turysty.

Przesiedzieliśmy na szczycie ze trzy godziny. Zejść mieliśmy zwykłą drogą do Doliny Zimnej Wody. Po szlaku Bröckelmanna droga ta wydała mi się miłym spacerem. Przynajmniej w górnej części. Przedostawszy się na stok północno-wschodni, schodziliśmy szybko po niezmiernie stromych trawnikach, wymijając płyty skalne. Nie cała droga była jednak tak łatwa. „Na dole są zamki dane“ twierdził Klimek. Rzeczywiście napotkaliśmy kilkadziesiąt metrów skały, które przypomniały nieco drogę ranną. Była i lina w robocie. Ale minąwszy to miejsce, mieliśmy tuż pod sobą ścieżkę od schroniska Téry'ego.

Rozstaliśmy się tutaj z Klimkiem. Torba moja przyjęła w gościnę cały nasz bagaż i powędrowała ze mną do Kolbachu, Klimek zaś z pustą torbą poszedł po część rzeczy, pozostawioną w schronisku Téry'ego.

Przyszedłszy stamtąd, przyniósł rozwiązanie zagadki co do tajemniczego turysty. I przyszedł nawet w jego towarzystwie: turystą tym był

p. Janusz Chmielowski, który z dwoma młodymi góralami wracał właśnie z Ostrego. Na miłej pogawędce zszedł nam wieczór; tym, co Tatry ukochali, materyału do rozmowy nigdy nie zbraknie.

* * *

Nazajutrz p. J. Chmielowski podążył wczesnym rankiem na Widły. Niżej podpisany zaś wraz z Klimkiem uczynił całodzienne zawieszenie broni. Można się było na nie śmiało zdecydować, bo pogoda ustaliła się była na sposób jesienny. Klimek przegawędził ranek z Jaśkiem Bachledą, który wypadkiem w Kolbachu się znalazł; popołudniu zapadł w trawę i odsypiał zmęczenie. Mnie wypadło pójść do Szmeksu, celem wysłania paru depesz i kupienia zapasów.

Powróciwszy stamtąd, wyszukałem sobie miejsce cieniste i zapatrzyłem się w poorane ściany Łomnicy. Myśl moja przebiegła długie pasmo wędrówek po Tatrach, wędrówek, co jak woda kryniczna orzeźwiały mi ducha i były mi jednem z ogniw, wiążących i godzących z życiem. Los rzucał mną dużo po świecie: widziałem zastygłe w lodzie cielska olbrzymów alpejskich, podziwiałem ponurą dzikość Czarnogórza, wpatrywałem się w białą szatę majestatycznej Etny. Lecz żadne z tych gór nie były mi tem, czem Tatry. Te Tatry, co na tygodnie całe otulają się w zasłony z chmur, każąc czekać bez końca na uśmiech, jak najkapryśniejsza z kobiet. Gdy jednak zasłony spadną i błysną modre oczy stawów, gdy rozrumienią się śniegi, a turnie odetchną świeżym wiatrem wschodnim — wtedy jakaś tajemnicza, olbrzymia dłoń wyciąga się do mnie z wyżyn górskich, chwyta i porywa z sobą. I gdy znajdę się na stromym wierzchołku, sam, mając jedynie lazurową kopułę nieba nad sobą, a naokoło zatopione w morzu równin zakrzepłe bałwany szczytów — wówczas zaczynam rozpływać się w otaczającym przestworze, przestaję się czuć wyosobnioną jednostką, owiewa mnie potężny, wiekuisty oddech wszechbytu. Tchnienie to przebiega przez wszystkie fibry mej duszy, napełnia ją łagodnem światłem i sięgając do głębin, gdzie leżą wspomnienia trosk i bólów przeżytych, goi, prostuje i wyrównywa. Godziny, przeżyte w tej półświadomości są jakby chwilowym powrotem do niebytu; dają one spokój wobec życia i śmierci, mówiąc o wiecznej pogodzie roztopienia się we wszechistnieniu.

* * *

Szósty dzień naszej wyprawy miał nas zaprowadzić na Szczyt Staroleśniański. Wypadło więc przejść wzdłuż całą prawie Dolinę Staroleśną. Czemu ta dolina tak się nazywa, nie umiem sobie objaśnić: niema w niej lasu dużo, a ten, co jest, nie wydaje się stary. W Koprowej i Cichej znacznie więcej starodrzewia. Zato turni o śmiało zarysowanych konturach nie brak w Staroleśnej.

Wyborna ścieżka na Rohatkę wiodła nas aż do punktu, gdzie wypadło zwrócić się na olbrzymie usypisko, tworzące podmurowanie do stromych ścian Szczytu Staroleśniańskiego. Charakterystyczną cechą północnej strony tego szczytu jest brak dogodnych do przejścia żlebów i kominów, tak, że

wypada wspinać się ciągle po ścianach, zaopatrzonych w więcej lub mniej dogodne chwyty. Droga śliczna, ze wszech miar zasługująca na poznanie. Bardzo oryginalnie dochodzi się do szczytu. Nie przeczuwa się go wcale: wspiąwszy się na jedną ze ścianek, widzi się nagle, iż się jest tuż przy czubku najwyższego z wierzchołków. Bo Szczyt Staroleśniański ma ich aż cztery, ustawione w kwadrat. W środku obszerna przełęcz. Najwyższy szczyt zakończony jest długim, ostrym głazem. Zbudowałem na nim piramidę z kamieni — zapewne jednak stała się już dawno pastwą wichrów. Oczywiście zwiedziliśmy wszystkie cztery szczyty. Wejście na szczyt zaopatrzony w tyczkę (dobrze widzialną od Domu Szląskiego) jest trudne, trudniejsze niż cała droga. W nagrodę ma się widok na Dolinę Wielicką. O widoku ze Szczytu Staroleśniańskiego rozpisywać się nie będę. Piękny jest bardzo, a na szczególną uwagę zasługuje wznosząca się aż pod niebo gotycka ściana Gierlacha. Zejście do Doliny Wielickiej było nieco łatwiejsze, niż droga ranna. Niedaleko trawiastych upłazów, okalających dno doliny Wielickiej, zdarzył się epizod, z którego pragnę wyciągnąć pewien wniosek. Gdy przechodziłem nad stromym żlebem po rodzaju galeryjki i wsparłem się ręką lekko o skałę, uczułem nagle, jak część skały ruchem wahadłowym nachyla się ku mnie. Błyskawicznym skokiem znalazłem się na odległej o parę kroków platformie, a podemną zadudniały w żlebie bryły skalne, porwane przez blok spadający. Niebezpieczeństwo przeszło tuż, tuż; zdecydowała jakaś cząstka sekundy, kilka centymetrów; gdyby nie one, spadałbym razem z bryłami skalnemi.

Otóż wniosek mój potwierdza w zupełności zdanie p. J. Chmielowskiego, że dla turysty, obeznanego z techniką chodzenia po skałach, jedynem istotnem niebezpieczeństwem w Tatrach są kamienie i skały spadające. A są miejsca w Tatrach, gdzie kamienie niemal ciągle spadają. Tak np. przy Żabim Stawie Jaworowym leżą setki bloków zupełnie świeżo oderwanych od ścian Szczytu Jaworowego; przechodząc tamtędy sam widziałem, jak parę bloków zjeżdżało w pobliże stawu. Przyczyny mogą być najrozmaitsze. Nieraz leży sobie głaz najspokojniej na śniegu — przyjdzie słońce, przygrzeje i głaz puszcza się w drogę. Wiatr halny chętnie też ciska kamieniami. I kozice często strącają drobne kamienie, które potrącają i porywają z sobą większe. Raz w Niewcyrce kozice urządziły takie bombardowanie, że musiałem je krzykiem wypędzić z doliny: niepodobna było iść pod grad kamieni.

Krawędzie Gierlacha przystroiły się w aureolę promieni zachodzącego słońca, gdyśmy dochodzili do schroniska Szląskiego. Nie lubię tego schroniska. I nie mam do niego szczęścia. Ile razy tam byłem, znajdywałem salę restauracyjną zapchaną opasłymi, krzykliwymi i ocygarzonymi niemcami, a pokoje co do jednego pozajmowane. I tym razem nie inaczej trafiłem.

Budzić mnie nazajutrz Klimek nie potrzebował, bo po noclegu na zestawionych krzesłach w sali restauracyjnej byłem wcześniej niż on na nogach. Siódmy dzień miał nas zaprowadzić na Szczyt Batyżowiecki. Okrążyliśmy więc potężne fundamenty Gierlacha, idąc bez ścieżki porosłem kosodrzewiną zboczem, przecięliśmy zakosy tajemniczej ścieżki, wiodącej do Kotła i napot-

kaliśmy wreszcie ścieżkę, wiodącą do Stawu Batyżowieckiego. Staw ten leży przy samem ujściu doliny, jakby był uciekł od kamienistej pustyni, co zaściela ją całą. Przyszło przejść całe to bezurocze pustkowie aż do podnóża Szczytu Batyżowieckiego. Dotarłszy aż do końca doliny, byliśmy już bardzo wysoko. Śnieg leżał wielkimi płatami, a świecił w słońcu białością oślepiającą. Przed nami wznosiła się dumna, przepaścista ściana Szczytu Batyżowieckiego; na razie trudno było odgadnąć, jak się na nią wydostać można. Zająłem się sfotografowaniem tej ściany; gdy już zdjęcie było zrobione i zabierałem się do składania aparatu, z pod głazu, na którym stałem, wypełzła smukła, lśniąco-zielona jaszczurka i umieściwszy się między nogami statywu, zaczęła się wygrzewać na słońcu; ani aparatu, ani mnie nie zaszczycała wcale swoją uwagą. Oczywiście po paru minutach konterfekt jej znalazł się na kliszy; odpowiednio powiększony, zdobi dziś moje album tatrzańskie, nosząc podpis: „Samotna mieszkanka Doliny Batyżowieckiej“.

Wejście na Szczyt Batyżowiecki nie trwało długo. Ale było bardzo trudne. Trudniejsze od drogi na Durny i na Staroleśniański. Droga wskróś „eksponowana“, dorównywająca w trudności północnej ścianie Pośredniej Grani. A jeszcze trudniejsze było przejście z wierzchołka wschodniego na zachodni.

Widok ze szczytu wydał mi się niepospolicie pięknym. Zwłaszcza cudnym był cichy zakątek Doliny Kaczej. Jej Staw Zielony lśnił jak szmaragd na podłożu z aksamitu, a lesista Dolina Białej Wody odcinała się jaskrawym kontrastem od jałowego pustkowia doliny Batyżowieckiej.

Zejście, dzięki linie, nie nasunęło większych trudności. Powróciwszy do naszych rzeczy, które spoczywały przy norze jaszczurczej, skierowaliśmy się w stronę przełęczy „Ku Drągu“. Droga na przełęcz widzialna była dobrze z dołu. Ale droga z przełęczy do Doliny Złomisk była cokolwiek zawiła. Trzeba było ciągle zataczać koła i ukosy, ażeby przejść trawiastemi ławkami pomiędzy ścianami bardzo stromemi. Zapewne zagmatwane to zejście było przyczyną, iż gdy przed laty przeniósł się z Zakopanego na Węgry najlepszy ówczesny przewodnik, Jędrzej Wala, który jeden tylko znał tę drogę, to mówili przewodnicy, że „Jędrek klucz od tej przełęczy z sobą zabrał“. Ale klucz się z czasem odnalazł i dzisiaj wrota przełęczy „Ku Drągu“ stoją otworem.

Z żalem odbywaliśmy tęgi kurs, który przejść trzeba było od Zmarzłego Stawu do schroniska przy Stawie Popradzkim. Bo celem naszej jutrzejszej wyprawy miał być sterczący nad stawem trójząb Ganku, Rumanowego i Żłobistego. Lecz na nocleg koło stawu wobec przymrozków wrześniowych niepodobna było się zdecydować. Wypadło tedy zejść do schroniska, ażeby nazajutrz tą samą drogą znaleźć się w Dolinie Złomisk; zyskaliśmy na tem tyle, że część niepotrzebnego bagażu mogła w schronisku pozostać.

Zaczęliśmy dzień od Szczytu Żłobistego (Marty). Początek drogi nie był trudny; szerokie koryto doprowadziło nas do rodzaju obszernej platformy, od której ciągnął się żleb w stronę Szczytu Żłobistego, a parę charakterystycznych galeryjek w stronę szczytu Rumanowego. Zwykła droga wiedzie na Szczyt

Żłobisty owym żlebem. Spróbowaliśmy wydostać się na szczyt inną drogą. Skierowaliśmy się w stronę Żelaznych Wrót i przekroczywszy spadzisty komin, zaczęliśmy się wdrapywać po mocnej, pewnej skale, w której nie brakło dogodnych chwytów. Droga była nadzwyczaj zajmująca, zwłaszcza pod samym szczytem, gdzie wypadło dosiąść konia, podobnego do słynnego „konika“ na Lodowym, tylko bardziej niesfornego, bo jakgdyby stającego dęba. Szczyt sam jest mały, zakończony wydłużonym głazem, przypominającym sarkofag. Widok piękny, w niektórych szczegółach zbliżony do widoku z Batyżowieckiego. Z powrotem szliśmy początkowo tą samą drogą, potem skierowaliśmy się jedną z charakterystycznych galeryjek w stronę Szczytu Rumanowego; droga ta trudności nie nasunęła. Widok z Rumanowego przypominał w znacznym stopniu widok ze Szczytu Żłobistego; zwracały uwagę wielkie kopce kamienne, sterczące na Ganku. I w dalszym ciągu nie potrzebowaliśmy oddalać się zbytnio od grani, ażeby wydostać się na Przełęcz Gankową, skąd prowadzi na Ganek tor zwykły. Czy nazwać go mam trudnym? W kilku miejscach jest nieco eksponowany — i to wszystko: stwierdzić na nim można dowodnie, jak pojęcia o trudności szczytów się zmieniają. Nie tak dawno uważano drogę z doliny Złomisk na Ganek za jedną z najtrudniejszych i wprost niebezpieczną — dziś pobiło ją wiele innych szlaków, że wymienię choćby na Pośrednią Grań od północy, której porównywać wprost z Gankiem nie można.

Siedząc na najwyższym czubku Gankowym, wpatrywałem się w majestatyczne ściany Wysokiej, w siną głębię przepaści do doliny Kaczej i w splot otaczających nas olbrzymów granitowych, z myślą, że przyjdzie mi się niebawem z tym czarodziejskim światem tatrzańskim pożegnać. Plan naszej wycieczki miał się ku końcowi, a przytem niebo przystroiło się w stronie zachodniej w drobne chmurki, co z wielką szybkością poczęły się zbliżać do nas, rosnąc i ciemniejąc. Doleciały do nas, gdyśmy już byli w Dolinie Złomisk, przez kilka minut siekły gęstym gradem i poleciały gdzieś dalej na wschód. Było to pierwsze ostrzeżenie, bo chociaż niebo się wyjaśniło, to jednak w turniach warczał złowrogi, potężny wiatr zachodni, po którym niczego dobrego spodziewać się nie należało.

Przez noc wicher się nie zmiejszył. Przeciwnie, wył i srożył się coraz mocniej. Na szczęście deszcz nie nadchodził jeszcze, choć chmur przebiegających w szalonym pędzie nad nami gromadziło się coraz więcej.

Dziewiąty dzień nasz był dniem powrotu do Zakopanego. Wiodła nas droga najkrótsza: przez przełęcz Koprową i Zawory. Jakże szalał wiatr na przełęczy Koprowej! Gdy nadszedł paroksyzm wichrowy, na Wiekim Stawie Hińczowym podnosiły się fale zdobne w spienione grzywy, a w koło nas zdawały się krążyć Tetmajerowskie „leśny Ćmy, górne Gmły, wodne Skróśświetlice, wietrzne Poświstnice, jasne Błękitówki, sine Trupiogłówki“, oplatając nas szalonym korowodem i pragnąc wciągnąć w swój wir błędny. W Dolinie Hlińskiej otaczające ją ściany chroniły nas od wichru, a w jej dolnej, lesistej części zdawać się mogło, że wicher już moc stracił. Po przez odwieczny, głuchy bór, którym porosłe jest ujście doliny Hlińskiej do doliny Koprowej

szedłem sam: Klimek został w Hlińskiej, ażeby wykopać nieco „korzenia litworowego“, o który go prosił Jędrzej Wala, co dziś z dalekich nizin węgierskich z tęsknotą w stonę łańcucha Tatr spogląda, a nigdy już do nich nie przychodzi.

Górna część doliny Koprowej to ulubione miejsce moje w Tatrach. Cóż za cudna gęstwina drzewna! Nigdy jeszcze siekiera nie dotknęła tego boru. Olbrzymie smereki, oczepione siwymi porostami, stoją zwartą gromadą, a w cieniu ich leżą mchem pokryte zwały padłych przed wiekami ich praojców. Poznałem się bliżej z tym borem przed laty, gdy idąc po raz pierwszy z Zaworów, zgubiłem ścieżkę i szedłem na przełaj. Setki drobnych ruczajów przebiegały pomiędzy zwałami, miejscami wypadało rękami torować sobie drogę wśród gęstwiny, a niejednokrotnie ciupaga, oparta na potężnym, omszałym pniu, przebijala na wylot jego spróchniałe cielsko. Zdawało się: lada chwila rozchylą się gałęzie i ukaże się zbrojna w łuk, spiżowa postać człowieka pierwotnego, co za niedźwiedziem przez gąszcz się przedziera!

W schronisku przy ujściu Hlińskiej doczekałem się Klimka, który przyszedł objuczony „korzeniem litworowym“ i podążyliśmy dalej w stronę Zaworów. W pobliżu przełęczy nadleciał ku nam znowu korowód mar wietrznych, próbując porwać nas w swój pląs opętany. Towarzyszył nam aż do Lilijowego i opuścił dopiero w dolinie Stawów Gąsienicowych.

Z przełęczy między Kopami ujrzałem Zakopane. Schodziłem niechętnie, czując coraz bardziej ciężar nizinnego powietrza. A jednocześnie za mną zapuszczała się kurtyna z chmur, zakrywając cuda, na które przez dni dziewięć dane mi było patrzeć.

Otuliły się tym razem góry już na dobre; gdy po paru tygodniach ukazały się znowu, ułożone były do snu zimowego pod zwartym całunem śnieżnym. Pożegnałem je na długi przeciąg szarej, chmurnej zimy miejskiej.

Zakopane, w lipcu 1907.

Pięć lat turystyki tatrzańskiej w cyfrach.
(1902 — 1906).

Chcąc dać dokładny obraz rozwoju ruchu turystycznego w Tatrach, trzebaby posiadać wykaz wszystkich wogóle wycieczek, jakie na ich obszarze w danym okresie czasu zostały zrobione. Tego rodzaju jednak statystyka nie istnieje i z rozmaitych przyczyn niemożliwą jest do urzeczywistnienia. Prowadzone są zato od lat pięciu spisy wycieczek najważniejszych, tak zwane „kroniki turystyczne“[1]). One to mogą nam dać pośrednio dane co do liczebnego rozwoju taternictwa, jeżeli założymy, że liczba owych wycieczek najważniejszych stoi w prostym stosunku do liczby wszystkich wycieczek.

[1]) Pierwsze trzy wyszły w Pamiętniku T. T. t. XXIV. (1903), XXV. (1904) i XXVI, (1905), dwie następne w 1. i 2. Nrze tego pisma.

WYCIECZKI LETNIE.

Rok	Narodowość	wycieczki: z przew.	b. przew.	w pojed.	razem	turyści: z przew.	b. przew.	w pojed.	razem	przewodnicy
1902	Polacy	5,	5,	0,	10	8,	11,	0,	17	4
	Węgrzy	0,	0.	0,	0	0,	0,	0,	0	3*)
	Niemcy	7,	0,	0,	7	5,	0,	0,	5	
	razem	**12,**	**5,**	**0,**	**17**	**13,**	**11,**	**0,**	**22**	**7**
1903	Polacy	7,	3,	0,	10	3,	7,	0,	8	3
	Węgrzy	1,	0,	0,	1	1,	0,	0,	1	4
	Niemcy	5,	0,	0,	5	3,	0,	0,	3	
	razem	**12,**	**3,**	**0,**	**15**	**7,**	**7,**	**0,**	**12**	**7**
1904	Polacy	9,	0,	0,	9	4,	0,	0,	4	4
	Węgrzy	0,	0,	0,	0	0,	0,	0,	0	3
	Niemcy	4,	0,	0,	4	4,	0,	0,	4	
	razem	**13,**	**0,**	**0,**	**13**	**8,**	**0,**	**0,**	**8**	**7**
1905	Polacy	11,	5,	0,	16	7,	5,	0,	12	6
	Węgrzy	4,	1,	0,	5	1,	4,	0,	5	3
	Niemcy	6,	3,	3,	12	4,	3,	1,	6	
	razem	**17,**	**9,**	**3,**	**33**	**4,**	**3,**	**1,**	**23**	9
1906	Polacy	10,	15,	1,	26	6,	8,	1,	15	9
	Węgrzy	0,	2,	0,	2	0,	5,	0,	5	2
	Niemcy	5,	4,	0,	9	3,	5,	0,	8	
	razem	**15,**	**21,**	**1,**	**37**	**9,**	**18,**	**1,**	**28**	**11**

WYCIECZKI ZIMOWE.

Rok	Polacy: wycieczki	turyści	przewodn.	Węgrzy: wycieczki	turyści	przewodn.	Niemcy: wycieczki	turyści	przewodn.	Razem: wycieczki	turyści	przewodn.
1902	0,	0,	0,	3,	1,	2,	2,	1,	2,	**3,**	2,	**2**
1903	1,	2,	0,	3,	3,	3,	1,	1,	3,	**4,**	**6,**	**3**
1904	0,	0,	0,	1,	3,	2,	0,	0,	0,	**1,**	**3,**	**2**
1905	1,	1,	1,	1,	1,	2,	0,	0,	0,	**1,**	**2,**	**3**
1906	2,	3,	0,	0,	0,	0,	14,	5,	2,	**16,**	**8,**	**2**

*) Przewodnicy spiscy nie są rozróżnieni na niemieckich i węgierskich.

Korzystając z materyału zawartego we wspomnianych kronikach, należy jednak wziąć przedewszystkiem pod uwagę, iż zasady, któremi się kierowano przy układaniu tychże, ulegały z biegiem czasu zmianom dość zasadniczym. I tak, gdy w kronice za r. 1906 umieszczone są tylko wycieczki nowe, to jest odbyte wogóle po raz pierwszy, (w przypadku wycieczek zimowych wycieczki po raz pierwszy robione w zimie), to n. p. w kronice za rok 1902 znajdujemy prócz wycieczek nowych, także znaczną liczbę takich, które z innych powodów wydały się autorowi kroniki godnemi zanotowania [1]). Pozatem okazało się, że niektóre umieszczone w kronikach wycieczki nie zostały w rzeczywistości zrobione, jakoteż nadeszła pewna liczba spóźnionych wiadomości, odnoszących się do lat, za które kroniki już wydrukowano. Jeżeli w myśl tych uwag poczynimy w kronikach odpowiednie zmiany, to materyał w nich zawarty da się ułożyć w niżej stojące tablice, które uwzględniają tylko wycieczki letnie nowe i wycieczki w zimie pierwszy raz robione. Oprócz wycieczek podana jest liczba turystów i przewodników, którzy w nich brali udział, ponadto uwzględniono podział na wycieczki odbywane z przewodnikiem, bez i samemu, czyli w pojedynkę, tudzież narodowość turystów [2]).

Z tablic możemy wysnuć następujące główne wnioski;

a) wycieczki letnie.

I. Ilość wycieczek i turystów przebyła minimum (w r. 1904), aby wzróść w dwójnasób.

II. Procent wycieczek odbytych i turystów chodzących bez przewodnika wzrósł po przebyciu minimum (w r. 1904). I tak w r. 1902 było bez przew. wycieczek 29%, turystów 50%, w r. 1906 wycieczek 60%, turystów 66%.

III. Najwięcej chodzą po Tatrach Polacy (w r. 1906, 70% wycieczek, 55% turystów), potem Niemcy, najmniej zaś Węgrzy.

b) wycieczki zimowe.

I. Liczba wycieczek zimowych wzrosła.

II. Pozostajemy w tyle za Niemcami.

Przyczyna tego ostatniego faktu zdaje się leżeć w zupełnym braku po polskiej stronie schronisk, któreby umożliwiały pobyt zimowy w górach, tudzież w słabem rozpowszechnieniu sportu narciarskiego. Należy się jednak spodziewać, że już w najbliższej przyszłości nastąpi w tym względzie pożądana zmiana. *Z. Klemensiewicz.*

---

[1]) Por. wstęp do kroniki za r. 1902. Pam. T. T. t. XXIV.

[2]) Cyfry podane w rubrykach „razem“ nie zawsze powstały przez sumowanie poprzednich, jeden bowiem i ten sam turysta może raz chodzić z przewodnikiem, drugi raz bez; również w jednej wycieczce może brać udział n. p. polski turysta i węgierski i t. d.

Pogawędki turystyczne.*)

Koleje górskie a turystyka. — Matterhorn i projekt kolei szczytowej. — Świeży wypadek w Tatrach a potrzeba organizacyi ratunkowej. — Nieco o etyce. — Refleksye i uwagi na temat: „obowiązki towarzysza".

Genezą techniki współczesnej jest przedewszystkiem ekonomia pracy ludzkiej. Tkwi w niej jednak nieraz ludzka zarozumiałość, pragnąca zatryumfować nad martwą potęgą przyrody. Pierwszemu kierunkowi wytwórczości technicznej odpowiadają wynalazki praktycznego znaczenia, drugiemu dzieła mniej lub też całkiem nieużyteczne, a głównie obliczone na efekt.

Te ostatnie stoją pod względem etycznym dość nisko. Bezcelowe wieże, zupełnie nieestetyczne rodzaje budowli nie służące na żaden cel pożyteczny, oto wytwory fantazyi i kaprysu, schlebiającego poziomym instynktom tłumów.

Czy zaś można nazwać „szlachetnem" działaniem takie przedsiębiorstwa techniczne, jak te wszystkie dzisiejsze koleje górskie, które mają na celu li tylko uprzystępnić góry turystom?

Stanowczo nie. Odpowiedź tu prosta i kategoryczna. Skoro bowiem walka jednostki ludzkiej z przyrodą, czyli turystyka górska, jest walką czysto bezinteresowną, to w podkładzie idei dzieła technicznego leży w pierwszym rzędzie najpospolitsza spekulacya.

Zresztą owe pierwiastki turystyki, które uczyniły ją szlachetnym sportem i uświęciły niejako tkwiącą w niej walkę z przyrodą, nie występują wcale tam, gdzie owa walka obrała inne środki. Gdy po kilkogodzinnem, wytężającem i pełnem niebezpieczeństw wspinaniu się na szczyt górski stajemy u celu, wówczas jednem z najrozkoszniejszych uczuć jest właśnie owo zadowolenie „zwycięstwa". Uczucie to słabnie tam, gdzie wyjście na szczyt górski zostało nam ułatwione zapomocą wygodnej ścieżki, odpada zaś zupełnie, jeśli jedynem z naszej strony współdziałaniem w odbyciu owej drogi było zakupienie biletu i zajęcie miejsca w wagoniku kolejowym. Ów szlachetny „tryumf" może odczuwać tylko twórca owej kolejki, wszyscy zaś inni dzielą swe entuzyazmy pomiędzy naturę i... genialne dzieło inżynierskie, przy którego pomocy mają sposobność tę naturę podziwiać w całym jej blasku.

Czyż zresztą jest słuszne, by owa rozkosz widoku górskiego była dostępna wszystkim, a więc także i tym, którzy celem jej zażycia nie potrzebują ani wytężyć sił, ani skupić odwagi, lecz... conajwyżej dobyć z kieszeni sakiewkę?

Pozostawmy to pytanie z ogólno-ludzkiego stanowiska bez rozwiązania, natomiast ograniczmy się na stwierdzeniu zasady, że koła turystyczne winny

*) Rubrykę tę otwieramy w naszem piśmie jako rodzaj stałego fejletoniku, w którym zamieścimy chętnie udzielone nam przez czytelników myśli i uwagi z dziedziny turystyki.
Redakcya.

bądź co bądź, celem pielęgnowania czystości idei alpinistycznej, zajmować wobec projektów kolei górskich stanowiska przeciwne.

Co innego udostępnianie gór, a co innego wjeżdżanie w nie kolejami. Pierwsze z nich w tak nieznacznym tylko stopniu zmienia ogólny krajobraz i charakter danej okolicy, że przez to nie zostaje wcale naruszony ów pozór dzikości, mający tak niczem niezastąpioną wartość. Jednakże przeprowadzenie w góry linii kolejowej jest ciosem wymierzonym przeciw temu wszystkiemu co daje człowiekowi dziewiczość przyrody górskiej.

Po opuszczeniu przez grupę turystów jakiejś dzikiej doliny, pozostaje ona tem, czem była dawniej... pełną majestatycznej ciszy i martwoty pustką. Rzecz inna, gdy po przejeździe pociągu kolei zostaną w niej... szyny stalowe.

Będą one tym nierozerwalnym łącznikiem tak obcych sobie światów, jak świat przyrody i kultury. A przytem przez te szyny właśnie będą tu nadpływać wszystkie bodaj najujemniejsze pierwiastki tej kultury.

Rozumieją Anglicy, dlaczego kraina ich ojczysta winna pozostać wyspą. Jeden tor kolejowy, przeprowadzony w podmorskim tunelu zmieniłby odrazu charakter całego kraju. Toż samo stałoby się z całą okolicą gór przez budowę jednej kolejowej linii w głąb pasma.

Oto jaskrawy przykład, w jakim stopniu przeprowadzenie kolei górskiej oddziaływa na stosunki danej okolicy. Mała ukryta w głębi Wallijskich Alp wioska Zermatt, leżąca w sąsiedztwie słynnego „Matterhornu", posiadała w roku 1858 zaledwie jedną gospodę, w której nie pojawiło się rocznie więcej turystów, jak dziesięciu. Dziś dzięki kolejom Visp-Zermatt i Zermatt-Gornergrat przesuwa się w tej okolicy około 20.000 ludzi, a hotele rodziny Seiler liczą już blisko 1000 łóżek!

Owa więc szczęśliwa rodzina Seilerów robi na Matterhornie niezawodnie doskonałe interesa, lecz cóż się stanie niedługo ze samym Matterhornem?

Ten majestatyczny róg kamienny, ów, według artystycznego wyrażenia Ruskina „ideał szczytu górskiego", tak pełen grozy i tajemniczości, otoczony urokiem legend i zabobonów, niedługo zejdzie do rzędu... stacyi kolejowych, oznaczonych w „Henschels-Kursbuch" z dodatkiem symbolicznego znaku: noża, skrzyżowanego z widelcem!

Niestety, owa, jedyna w swoim rodzaju kolej jest dziś już tylko kwestyą czasu i pieniędzy, bo projekt techniczny już gotów. Jest on dziełem bądź co bądź genialnej spółki inżynierskiej Gollier i Imfeld. Plan rozpada się na 2 części. Pierwsza pójdzie z Zermatt do Jeziora Czarnego (2508 m.), stąd zaś przez tunel pod Hörnli do schroniska na Matterhornie (3052 m.), druga zaś będzie zbudowana jako 2 szynowa elektryczna linowa kolej na sam szczyt góry, wiodąca pionowym niemal tunelem, wydrążonym w samej masie góry tuż pod powierzchnią. Stacya końcowa (4475 m.) będzie urządzona na północnej stronie szczytu, o 20 m. zaledwie poniżej samego wierzchołka!

Oto wytwór fantastycznej wyobraźni, lecz zapewne i praktycznych obliczeń. Kolej taką teoretycznie zbudować można, lecz czyż da się wierzyć w sfinansowanie tego przedsiębiorstwa, które nie może liczyć nawet na owe

tysiące pasażerów, którzyby chcieli ryzykować dwukilometrową jazdę w nachylonym prawie pionowo kominie?

Może przecie w tym wypadku projekt padnie ofiarą swej własnej groteskowości. A byłoby to wielkie szczęście dla owych duchów, błądzących wśród skał i śniegów Matterhornu, jak również dla niego samego!

Bogu dzięki, że u nas w Tatrach na coś podobnego się nie zanosi, ile że projekt kolei na Świnicę ma się ku początkowi... końca. Mówi się wprawdzie powszechnie o braku kultury w Tatrach, jeśli jednak chodzi o brak zanadto dogodnych ułatwień komunikacyjnych, to chwała Bogu!

Są u nas jednak inne potrzeby. Świeży wypadek w polskich Tatrach winien wpłynąć decydująco na kwestyę należytej organizacyi ratunkowej.

Oto w Alpach istnieją już dawno okręgi ratunkowe ze stacyami, z całym zorganizowanym w sposób wzorowy aparatem. U nas, prócz dobrych chęci i jakiejś tam apteczki przy Morskiem Oku, o niczem innem nie słychać.

Chodzi zaś o to, by w schroniskach Towarzystwa Tatrzańskiego były w pogotowiu choćby najprymitywniejsze środki, a więc: lina, latarnia, nosze i jaka taka apteczka, a nadewszystko, chętna i gorliwa garstka ludzi, którahy w danym wypadku nie liczyła tylko na wynagrodzenie, lecz była przejęta ideą spełnienia czynu szlachetnego.

Przecież jedynie tym duchem natchnione są już istniejące i tak pożyteczne organizacye ochotniczych straży pożarnych i towarzystw ratunkowych. Można ręczyć, że i u nas na dany sygnał pospieszyłaby z zapałem w krytyczne miejsce drużyna ratunkowa i nie szczędziłaby ni trudów, ni zdrowia dla ratowania bliźnich... lecz trzeba właśnie, by ktoś usłyszał ów sygnał!

Pozostawiając praktyczną stronę tego projektu ludziom fachowym, ograniczamy się jedynie na przypomnieniu samej myśli. A sprawa ta jest niewątpliwie „piekąca“, zwłaszcza, że w Tatrach bywały nieraz wypadki, które skończyłyby się z pewnością pomyślnie, gdyby pomoc rychło nadeszła.

Uwagi powyższe w związku ze znanymi wypadkami tak w Alpach jak i w Tatrach, przy których z dwóch turystów jeden ocalał, nasuwają jeszcze parę myśli na temat: jakie są w górach obowiązki „towarzysza“ wogóle, zwłaszcza zaś wówczas, jeśli ten drugi znajdzie się w sytuacyi krytycznej.

Pisano już o tem nieraz (rozumie się, po niemiecku). U nas nie zwrócono, prócz kilku myśli przelotnych, większej na ów temat uwagi, choć sprawa ta winna zajmować dość wybitne miejsce w tym idealnym kodeksie etyki turystycznej, którego prawidła należałoby u nas nieco uregulować i spopularyzować.

Nie zwrócono zaś uwagi może trochę i dlatego, że u nas wogóle rzadziej o sposobność zaznaczenia owej niezmiernie ważnej roli „towarzysza“. W górach, gdzie wiązanie się liną jest używane z reguły, nie zaś, jak w Tatrach, wyjątkowo, rola ta występuje o wiele wybitniej, gdyż w tym razie partya turystów stanowi jakby jeden, posuwający się wspólnymi siłami organizm, w którym bezpieczeństwo całości złożone jest w rękach jednostki i na odwrót. Dzieje się to nawet, a przedewszystkiem tam, gdzie wyrusza w góry zaledwie

dwu towarzyszy. Tu już nieraz życie jednego zawisło nie od zwykłej uwagi, ale od stopnia, w jakim drugi wytęży swe siły i swe najlepsze chęci.

Lecz najważniejszą jest kwestya pomocy przy wypadku. Tu już nie wystarczy owa zwykła ludzka, ba nawet przyjacielska gotowość narażenia siebie samego, lecz wprost potrzebna jest... bohaterskość. Bywało nieraz, że ten „drugi“ przyjaciel, widząc pierwszego w niebezpieczeństwie, tracił głowę i uciekał jak najdalej od miejsca wypadku, zostawiając nieszczęśliwego na pastwę losu! Pomoc z dolin przybyła zapóźno!

Nie polega tedy obowiązek „towarzysza“, by w takich razach spowować jak najrychlejsze przybycie pomocy, lecz przedewszystkiem na tem, by użył wszystkiego co tylko możliwe, celem ulżenia drugiemu, swemi własnemi siłami. Tę zasadę musimy podnieść z niezmiernym naciskiem, gdyż często bywa, że tylko proste podanie ramienia, rzucenie liny lub tylko nawet moralna zachęta wystarczy, by tamtego wydobyć z ciężkiej opresyi. Przytomność umysłu... skarb osobisty, o który turysta winien zabiegać więcej, niż o inne zalety natury technicznej. Przyznać to musi zresztą każdy, kto tylko, choćby powierzchownie zastanawiał się nad psychologią wycieczek górskich. *A. Rogala.*

Także w ważnej sprawie.

W ostatnim numerze „Taternika“ wystąpił p. M. Karłowicz bardzo słusznie przeciwko rozpowszechnionemu wśród naszych turystów zwyczajowi wyprawiania w górach iście piekielnych hałasów. Niestety publiczność turystyczna ma jeszcze i inne nawyczki, które czynią pobyt w bardziej uczęszczanych miejscach Tatr wprost pozbawionym wszelkiego uroku.

Wystarczy przejść w czasie sezonu n. p. przez Zawrat, lub wyjść na który z częściej zwiedzanych szczytów, aby się przekonać jak dalece bezmyślność i niedbałość ludzka może zepsuć wrażenie wywołane przez piękność przyrody górskiej. Wszędzie po drodze spotyka się: papiery małe i duże, kolorowe i białe, papierki z cukierków i czekolady, kawałki gazet, puszki z konserw, flaszki całe i potłuczone, słomianki z butelek, skorupy z jaj, pestki, skórki z cytryn i inne odpadki, nie mówiąc już o niedopałkach papierosów i cygar. A na miejscach zwykłego odpoczynku, na szczytach, koło schronisk spotykamy już prawdziwe śmietniki.

Pominę już okoliczność że wszelkie tego rodzaju ślady bytności ludzkiej wypłaszają kozice, ale na miły Bóg, czyż na to człowiek ucieka w góry, aby tam spacerował wśród śmieci! Czy to tak trudno schować niepotrzebną butelkę lub papier w szparę między kamienie, lub pod krzak kosówki, gdzieby ich nie dojrzało ludzkie oko?

Oprócz tych, że tak powiem akustycznych i optycznych własności ma turystyczna publiczność i inne jeszcze, mogące się dać uczuć w sposób bardziej namacalny. Pierwsza to uświęcony tradycyą zwyczaj zrzucania ze szczy-

tów próżnych butelek i staczania kamieni. Jedni uważają przytem, by nie rzucać na ścieżkę, inni pocieszają się myślą, że „ktoby tam teraz szedł“. Większość wogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje ścieżka, którą przyszli i czy oprócz niej są gdzie jakie inne. A przecież dzisiaj nawet najbardziej niedostępne turnie, najspadzistsze ściany, znajdują amatorów i niema miejsca w Tatrach, o którem możnaby z pewnością powiedzieć, że nikt niem właśnie nie idzie. Druga nawyczka, mogąca spowodować poważne następstwa to wrzucanie rozmaitych ostrych przedmiotów n. p. zbitych flaszek, puszek blaszanych do stawków. Znam liczne wypadki, w których kąpiący się odnieśli mniej lub więcej ciężkie poranienia, dlatego, że jakiś miłujący piękno przyrody turysta, wypróżniwszy w zachwycie butelkę, nie omieszkał jej zbić o nadbrzeżne kamienie.

Quidquid agis, prudenter agas et respice finem!

E.

*
* *

Byłem przed kilku dniami u Morskiego Oka. Podziwiając uroczy staw, z przykrością zauważyłem, że wzdłuż malowniczej drużyny, pnącej się od Morskiego Oka do Czarnego stawu, **fotograf poumieszczał na kamieniach napisy**, zawiadamiające o szybkości jego zdjęć. Trudno zabraniać panu fotografowi urządzania zakładu swego choćby koło Morskiego Oka,*) jednakże czyby nie można było usunąć owych nieestetycznych napisów, tak rażących wśród pięknej przyrody.

Tatry nasze są dotychczas niedocenione przez turystów. Wszystkie przewidywania mówią za tem, że w niedalekiej przyszłości napłyną tu szeroką falą podróżni nie tylko z Polski, lecz i z dalszych krajów. Za gośćmi zjawią się i aferzyści wszelkiego rodzaju, którzy będą się starali rozpowszechniać swoje towary za pomocą jak najwięcej rzucających się w oczy ogłoszeń.

Najwyższy już czas, żebyśmy się postarali uniknąć losu Szwajcaryi, gdzie najpiękniejsze widoki zeszpecone są porozrzucanemi wszędzie ogłoszeniami. W Stanach Zjednoczonych, tej ojczyźnie humbugu, zrozumiano jednakże, że są pewne granice, których reklamie przekraczać nie wolno. Park Yellowstone, ów ósmy cud świata, amerykanie uczynili narodową własnością — miejscem, na które spekulacya wkraczać nie może.

Postąpienie praktycznych jankesów weźmy sobie za wzór. **Obmyślmy środki, ażeby ręka spekulanta nie kalała surowego, posępnego piękna,** jakiem przyroda tak hojnie obdarzyła nasze góry.

Nie wiem, czy głos mój pierwszy odezwał się w tej sprawie, tuszę tylko, że nie będzie ostatni, i że **Towarzystwo Tatrzańskie wypowie także swoje ważkie słowo.** *Dr. Stanisław Muszyński.*

---

*) Sądzimy, że leży w możności sfer miarodajnych usunąć z nad Morskiego Oka przemyślnego fotografa i jego „pawilony“. *(Red.)*

Nowe drogi.

Nowa droga na Giewont północną ścianą wprost od doliny Strążyskiej. (22 lipca 1906).

Od Siklawicy do dolinki Pustej, stąd szlakiem niebiesko znaczonym po pod Mały Giewont do żlebu oddzielającego Giewont Wielki od Małego. Tu opuszczamy natychmiast drogę znaczoną i wstępujemy półkami na prostopadłą ścianę Giewontu, trzymając się strony lewej. Niebawem dochodzimy do skośnego, w dół od lewej ku prawej idącego żlebiku, którego okroczenie bardzo trudne. Wkrótce po półkach osiągamy żmudnie początek prostopadłego, kilkodziesięcio metrowego, wilgotnego kominka nadzwyczaj trudnego i niebezpiecznego do przejścia. Stąd wdzieramy się na obszerne siodełko obok charakterystycznego zęba w Giewoncie. Na prawo skąpa kosówka. Trawersując po półkach i przechodząc trudne kominki osiąga się grań Giewontu, skąd kilkometrowe, forsowne dojście granią do krzyża. (Od Siklawicy $2^1/_2$ godz). Droga ta nadzwyczaj trudna i niebezpieczna z powodu kruchości wapienia i wilgotnych, ślizkich traw, robiona z wyjątkowych ważnych powodów nie zasługuje bezwarunkowo na powtórzenie.

Aleksander Znamięcki.

Niebieską Przełęcz *) (około 2175 m.) przeszedł 16. lipca 1907, p. Z. Klemensiewicz sam.

Od Zadniego Stawku pod Świnicą kierujemy się na południe i stromym śniegiem zdążamy ku płytkiej rynnie utworzonej przez ściany Świnicy i Turni Zawratowej. Na lewym jej brzegu wspinamy się w zygzak po gładkich, trudnych, wymytych wodą płytach około $^3/_4$ godz. Tutaj rynna przechodzi w wązką, gładką rysę, którą wspinamy się kilka metrów, poczem dostajemy się w rodzaj tunelu, który wyprowadza nas na przełęcz. Tunel ten bardzo stromy, zapełniony jest u góry luźnemi kamieniami, między którymi zaledwie można się przecisnąć (trudne i bardzo niebezpieczne). Od Stawku Zadniego $2^1/_4$ godz. Z przełęczy schodzi się niezbyt trudną, ukośną rysą, potem po stopniach na ścieżkę, wiodącą od Zawratu na Świnicę, 15 min. Na przełęczy znaleziono stary kopczyk bez biletów.

*) Jest to przełęcz, położona między Turnią Ponad Zawrat, a charakterystycznym zębem w grani Świnicy, zwanym Niebieską Turnią.

Z sezonu.

Tegoroczny sezon turystyczny rozpoczęły długie dnie zimna i niepogody. Trzykrotnie pokrył śnieg grubą warstwą góry i lodem ścięły się turnie i żleby.

Mimo tak niekorzystnych warunków nie brakło ochoty do wycieczek.

Szczególnie podnieść należy udział w trzydniowej wyprawie młodziutkich, dzielnych taterniczek, panien Janiny i Anny Kasprowiczówien, które wśród zawiei śnieżnej przeszły nowy szlak na Zawrat, tak lodem i śniegiem pokryty, iż trudność tego przejścia nawet dla dobrze z „techniką lodów“ obeznanego turysty nie byłaby do lekceważenia. Wiele trudności przedstawiała także droga na Rysy i przejście Miedzianych w podobnych warunkach.

Dawniej turyści tatrzańscy jak ognia unikali takich przejść śnieżnych, dziś — z radością stwierdzamy — nie cofa się przed niemi nawet najmłodsze pokolenie taterników.

Z wypraw górskich, jakie w początku obecnego sezonu notujemy, zaznaczyć należy przedewszystkiem p o w t a r z a n i e d w u n a j t r u d n i e j s z y c h p r z e j ś ć t a t r z a ń s k i c h t. j. południowej ściany Ostrego Szczytu i Żabiego Konia. I tak Żabiego Konia zwiedzają 27 czerwca pan i pani Bröske z Breuerem, w trzy dni później H. Behn z Franzem sen. H. Behn przechodzi 29 czerwca z J. Strompfem płd. ścianę Ostrego drogą Häberleina, z zejściem na Białą Ławę. Również powtórzono Szar-

pane Turnie (pni Bröske z towarzyszem pod przewodnictwem Franza). W pierwszej połowie lipca zwiedziła pewna Angielka z przewodnikiem szwajcarskim Hansem Kauffmannem i J. Strompfem Ostry Szczyt pn. ścianą z zejściem na Białą Ławę.

Co się tyczy dróg i przejść nowych otrzymaliśmy następujące wiadomości:

16. lipca wychodzi Z. Klemensiewicz (sam) na niezwiedzoną dotychczas Niebieską Przełęcz (między Zawratową Turnią a Niebieską Turnią tj. owym charakterystycznym zębem w grani Świnicy*) [Patrz rubrykę „Nowe drogi"].

Dr. A. Martin donosi nam o swej wycieczce z 14.—21. lipca co następuje:

16. XVII. Z Zielonego Stawu Kiezmarskiego (3g.35 m.) do Jastrzębiej dolinki, skąd na Przełęcz Czarną (między Kołowym i Czarnym Szczytem), skąd (6 g. 30 m.) północną granią, nową drogą na Szczyt Czarny (2436 m.) Na szczycie 7 g. 25 m. do 8 g. Następnie przejście granią na Baranie Rogi i po drodze pierwsze wyjście na 3 Papirusowe Turnie (I, II., III.) Baranie Rogi 11 g. 45 m. do 12 g 35 m. Schronisko Tery'ego 1 g. 25 m.

17. VII. Wyjście 7 g. 5 m. Wejście na przełęcz między Małym Durnym, a t. zw. Szczytem Egenhofferówny (9 g. 10 m. do 9 g.30 m.), skąd drogą Chmielowskiego na Szczyt Egenhofferówny (9 g. 40 m. do 9 g. 55 m.). Zejście granią ku pn. zach. na przełęcz pod następnym niezwiedzonym jeszcze szczytem. Wyjście nań (dr. Martin nazwał tę turnię „Szczytem Chmielowskiego").

Dnia 18 lipca znaleźli przewodnicy spiscy P. Csizak, J. Breuer, P. Spitzkopf sen., P. Spitzkopf jun. i J. Schmögner nową drogę na Szczyt Ostry od Doliny Staroleśnej

Z Klemensiewicz i A. Znamięcki przeszli 24 b. m. z Doliny Czarnej Jaworowej do Doliny 5 Stawów przez Wyżnią Przełęcz Śnieżną. Następnego dnia przeszli granią ze Szczytu Nienazwanego (niem. Chmielowskispitze, patrz wyżej) na Przełęcz Baranią. 26 b. m. dokonali w 17 godzinach przejścia Szczytu Ostrego na krzyż: Wyszedłszy z Jaworowej Doliny zwykłą drogą, zeszli granią na Przełęcz Jaworową (nowa droga), następnie tego samego dnia wyszli po raz drugi na Szczyt Ostry od Białej Ławy (1 wyjście) i zeszli do Doliny Staroleśnej drogą Häberleina.

*) Wiadomość o istnieniu nazwy »Niebieska Turnia« zawdzięczamy uprzejmości p. dra Stanisława Eljasza Radzikowskiego (Red.).

Sprawozdanie Zarządu Sekcyi turystycznej.

Główny nacisk położył Zarząd na wydawnictwo „Taternika" organu Sekcyi. Wybrano ściślejszy Komitet Redakcyjny, w skład którego weszli pp. Dr. Panek, Klemensiewicz, Kordys. Komitet ten nawiązał stosunki z turystami tak polskimi, jak i węgierskimi i niemieckimi, w celu zapewnienia sobie najwszechstronniejszego doboru artykułów. Pismo ukazuje się od początku roku w miesiącach zimowych kwartalnie, w sezonie zaś co miesiąc w objętości 16 str. 8^{0}.

Następnie ukończył Zarząd Sekcyi ostatecznie ważną sprawę nowego regulaminu dla przewodników. Regulamin ten opracowany nadzwyczaj starannie na podstawie regulaminów alpejskich, tudzież regulaminu dla przewodników spiskich, przedłożono do zatwierdzenia Wydziałowi Towarzystwa Tatrzańskiego.

Sprawozdanie kasowe wykazuje w dochodach cyfrę 115·20 K. w rozchodach 111·20, w czem 100 K. wyasygnowanych redakcyi Taternika.

Posiedzeń, w których brali udział obecni we Lwowie członkowie Zarządu, odbyło się 4.

J. Chmielowski
sekretarz.

Prof. Dr. K. Panek
zast. przew.

Notatki.

Wandalizm. Znaczną część funduszów Towarzystwa Tatrzańskiego pochłaniają corocznie wydatki na naprawę schronisk, altan i ścieżek, zepsutych przez wpływy atmosferyczne. Niestety jednak zdarzają się dość często wypadki, w których przyczyną szkód są... ludzie. Istnieje pewna kategorya turystów, którzy bez najmniejszych skrupułów palą ławki drzwi i okiennice, ba nawet dach w schroniskach i dla zabawki rąbią tabliczki i drogowskazy. W interesie turystyki należy nazwiska takich panów, złapanych na gorącym uczynku podawać do wiadomości Wydziału Towarzystwa. My ze swej strony nie omieszkamy w takich wypadkach sprawców publicznie napiętnować.

Wypadek w Tatrach. P. M. Zaruski donosi nam autentyczne szczegóły o wypadku na Świnicy z 3 lipca.

Dwaj porucznicy l-go pułku artyleryi polowej z Erfurtu Günter Schönberg i Bernard Spiss, wyszedłszy zwykłą drogą na Świnicę zaczęli około godz. 11. przed południem schodzić ku Zawratowi, lecz zaraz opuścili ścieżkę, aby płytkim żlebem ciągnącym się niemal z pod szczytu dostać się do Zadniego Stawu z Pięciu Polskich. W tym to żlebie Schönberg idący z tyłu pośliznął się na trawiastym upłazku i zaczął toczyć się w dół, a przeleciawszy obok przed nim idącego Spissa, runął na śnieg, następnie znowu tocząc się po upłazkach zawisł na skale bez życia. Towarzysz wrócił na ścieżkę i zeszedłszy do doliny Pięciu Stawów, zaalarmował juhasów, ci jednak po daremnych poszukiwaniach wrócili. Dopiero wieczorem dnia tegoż wysłała z Zakopanego wyprawa z 8 ludzi pod przewodnictwem Józefa Gąsienicy Szajnego i ci przenocowawszy przy Czarnym Stawie — następnego dnia rozpoczęli poszukiwania od Stawu Zadniego i tam znaleźli najpierw worek, następnie ciało zabitego, które przez Roztokę przeniesiono do Zakopanego.

Przyczyną tego strasznego wypadku było prawdopodobnie przypadkowe pośliźnięcie się turysty.

Z piśmiennictwa.

Janusz Chmielowski. Mapa Tatr Wysokich. 1 : 50.000. Cena 2 kor. Jest to ważny i cenny nabytek dla turystyki polskiej. Dotychczas tylko mapa T. T. w podziałce 1:25.000 odpowiadała wymaganiom; zbyt jednak jest kosztowna, aby posługiwać się nią mogli wszyscy zwiedzający Tatry. Dlatego znajdowały u nas olbrzymi popyt mapy niemieckie, szczególnie zaś niedroga (znakomita zresztą) mapa dra Otto.

Mapa J. Chmielowskiego nietylko że w zupełności dorównuje mapom obcym, lecz przedstawia w porównaniu z niemi szereg wybitnych i ważnych zalet. Zaznaczyć tu należy w szczególności nomenklaturę i nakreślenie ścieżek i dróg, Pod tymi względami żadna z istniejących map nie dorównuje omawianej. Wciągnięto w nią tak najnowsze rezultaty badań nad nazwami tatrzańskiemi, jak i wszystkie ścieżki, wykonane do końca 1906 r.

Wymaganiom turystów mapka ta w zupełności odpowiada i winna się znaleść w rękach każdego taternika. — *rk*.

Janusz Chmielowski. Mapa Tatr zachodnich. Mapa Tatr Bielskich. Cena razem 1·50 K. Dwie mapki, z których pierwsza dodana jest do I. części Przewodnika po Tatrach, stanowią konieczne uzupełnienie mapy Tatr Wysokich. Obie nakreślone schematycznie są nadzwyczaj wyraźne i przejrzyste i mogą oddać znakomite usługi turystom, zwiedzającym te obie, mało dotychczas znane okolice Tatr. — *rk*

Zakopane 1907, broszurka reklamowa, bezpłatnie rozdawana przejezdnym, zawiera również rozprawkę M. Zaruskiego p. t. „Zakopane, jako stacya turystyczna". Rzecz ta może dać pewne pojęcie osobom Tatr zupełnie nieznającym, jest jednak napisana zbyt popularnie i jednostronnie, aby turyści już nieco z Tatrami obeznani, cokolwiek z niej skorzystać mogli. W części, odnoszącej się do turystyki zimowej, używa autor stale wyrazów: „łyżwica, łyżwicowy, łyżwista", na oznaczenie nart i wyrazów pokrewnych, których to neologizmów — wobec istnienia polskiej nazwy „narta, narciarz itd." — trudno uzasadnić.

Pozatem zawiera broszurka szereg informacyi, w kwestyach odnoszących się do turystyki najczęściej mylnych, tak np. gdy mowa o cenach przewodników (str. 31).

Pomijając jednak te błędy, uważamy, że broszurka celowi swemu odpowiedzieć może.

M. Zaruski. Kozi Wierch (2295 m.) na łyżwicach. Nasz Kraj (Lwów). Zeszyt 3-ci z 21. lipca 1907. Nadzwyczaj skąpa literatura nasza tycząca się turystyki zimowej powiększyła się o opis wycieczki narciarskiej pp. M. Zaruskiego i Borkowskiego na Zawrat i Kozi Wierch, z kwietnia br., o którejśmy już w swoim czasie donieśli. Interesujący opis tej dzielnej wycieczki zaciekawi z pewnością każdego taternika, zajmującego się turystyką zimową. Co się zaś tyczy używanego stale przez autora terminu „łyżwica", to zaznaczyliśmy już nasze zdanie powyżej, mówiąc o broszurce „Zakopane 1907".

DRUKARNIA UDZIAŁOWA, LWÓW, KOPERNIKA 20.